

Gala

140
STRON!
Z DODATKIEM
TAJEMNICE
URODY



ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
*Nie jestem krainą
łagodności*



MICHALINA ŁABACZ
*Utalentowana
i skromna*



JAVIER BARDEM

**SŁUCHA
RAD
MAMY**



KRYSTYNA JANDA

**CZEKAM
NA LEPSZE
CZASY**



Zawsze podziwiałam Krystynę Jandę.

*Wybitna aktorka,
charyzmatyczna kobieta.
Wielka artystka,
która pomimo spektakularnej kariery*

zdażyła urodzić troje dzieci i stworzyć ciepły, bezpieczny, wielopokoleniowy dom. Janda to kobieta instytucja. Ujmuje mnie jej talent, a właściwie talenty, bo ma ich przecież wiele. Gra rewelacyjnie i równie dobrze pisze. Dowcipnie, z dystansem do siebie i otaczającego świata. Porusza tematy ważne. Porusza też serca. Moje – opowieścią o Soni, czarnym kundelku, którego przygarnęła podczas specjalnej akcji na rzecz adopcji zwierząt w jednym z centrów handlowych w Krakowie. Wrażenie zrobiło na mnie nie tylko to, że kolejny niechciany pies znalazł kochającego właściciela, ale fakt, że Janda jest wielka również wtedy, gdy schodzi ze sceny.



Anna Zejdler-Ibisz

Anna Zejdler-Ibisz
REDAKTOR NACZELNA



20

Krystyna Janda
„Ani nie czuję niedosytu, ani nie uważam, że osiągnęłam wszystko”.

Gwiazdy

14 Z życia gwiazd

David Beckham nie widzi świata poza córką, a Anja Rubik odważnie mówi o seksie

20 **KRYSZYNA JANDA**

„Moja siła to niepodległość”

30 Zbigniew Zamachowski

„Wcale nie jestem krainą łagodności, tylko cholerykiem”

36 Michalina Łabacz

„Jeszcze nie czuję, że odniosłam sukces”

42 Javier Bardem

„Jeśli dłużej nie widzę dzieci, wpadam w rozpacz”

44 Roma Ligocka

„Żałuję, że nie stworzyłam prawdziwego domu”

48 Filip Pławiak

„Cieszę się z tego, co przynosi życie”

50 Amanda Knox

Morderczyni czy ofiara?

NASZA OKŁADKA



fotograf Krzysztof Opaliński
stylizacja Grzegorz Bloch
makijaż Iza Kućmierowska / Complete Artists
fryzury Emil Zed / Van Dorsen Artists
produkcja sesji Kasja Michorowska,
Magdalena Lizurej

Bohaterka ma na sobie: spodnie Marlu,
sukienka Zara, buty Aldo, biżuteria
Selfie Jewellery

Gala gwiazda z okładki



Moja siła to niepodległość



Wybitna aktorka. Ceniona nie tylko w Polsce, ale też na całym świecie. W 15. edycji plebiscytu Róża Gali przyznaliśmy jej nagrodę specjalną: Różę Róż. **KRYSTYNA JANDA** ma silną osobowość, która sprawia, że wszyscy wokół niej czują się bezpiecznie. Jest odważna i nie boi się mówić, co myśli, chociaż płaci za to wysoką cenę.

rozmawia ALDONA SOSNOWSKA-SZCZUKA

zdjęcia KRZYSZTOF OPALIŃSKI



Właśnie ukazała się druga część Pani „Dzienników”, które od 17 lat pisze Pani na swojej stronie internetowej. Po co Pani je pisze?

Nieuprzejme pytanie. (Śmiech) Myślę, że wynika to z naturalnej potrzeby dzielenia się. Aktorstwo, reżyseria, prowadzenie teatru też jest dzieleniem się z ludźmi – uczuciami przede wszystkim, przemyśleniami, tematami. Jeżeli coś mnie porusza, a jest szerszym problemem, piszę o tym. A raczej pisałam, bo teraz, od jakiegoś czasu, jest mi trudniej, czy też monotematycznie. Wiele osób mówiło mi, że zaczynało dzień od czytania mojego „Dziennika”.

Wkładała Pani w niego wiele serca.

Kiedyś pisałam codziennie. Pierwsze lata były zachłystnięciem się internetem i możliwościami, jakie daje. Kiedy zobaczyłam pierwszy raz komputer i poznałam jego możliwości, oszalałam! Zaczęłam się szybko tego uczyć. Ale tak jest u mnie ze wszystkim. Po prostu coś mi się podoba, widzę potencjał i... Zawsze pisałam o sprawach zawodowych, to było dla mnie ważne. W miarę upływu czasu zmieniały się tematy: zaczynałam od problemów społecznych i spraw dotyczących nie-szczęść życiowych czy zwykłych radości. Gdy nastała wolna Polska, okazało się, że wszyscy uczymy się cieszyć małymi rzeczami i na nowo smakować życie. Wtedy mój „Dziennik” zdominowały tematy wyjazdów, wycieczek, dzieci, pór roku. Ostatnie lata przyniosły zdziwienie, że nie wszyscy myślimy tak samo, że się różnimy, że niektórzy mają w sobie tyle złości, wcale nie są dobrzy, choć tak nam się wydawało.

Zaskoczyło to Panią?

Tak. Wydawało mi się, że wszyscy ludzie dookoła mnie, z którymi żyję w Polsce, w naszym kraju, myślą podobnie. Że wolność, praca, sukcesy, porażki są nam wspólne. Było tak, dopóki nie powstały liczne otwarte media, fora, anteny – i nagle ludzie zaczęli bez zahamowań mówić, co myślą i czują. Zdziwiłam się, a potem przeraziłam. Wtedy zupełnie też zmienił się „Dziennik”. Wycofałam się, bo byłam atakowana za absolutną niewinność czy naiwność. Za takie rzeczy... na przykład pisałam, że czekam na wakacje, bo jadę do Włoch, i dostawałam fangę – że mnie stać na wyjazdy

„Czekam na lepsze czasy, żeby móc spokojnie, na nowo żyć”.

za granicę, że jestem egoistką i tak dalej. Kilka razy mnie tak boleśnie dotknęło, szczególnie komentarzami w okresie choroby mojego męża, że w ogóle przestałam pisać.

Jednak wróciła Pani do tego.

Powoli, ponieważ „Dziennik” stał się w pewnym sensie elementem PR-u mojej Fundacji na Rzecz Kultury. Ludzie mnie pytali, kiedy gram, dokąd wyjeżdżam, kiedy będę w Krakowie i tym podobne. W ten sposób, razem z forum, które się przy nim rozwinęło, oraz Facebookiem, „Dziennik” stał się też częścią Fundacji. Natomiast od dwóch lat w ogóle już nie piszę na tematy osobiste.

Dlaczego?

Mam poczucie, że żyję wśród wilków. Że ludzie są nieprzychylni. Że ci, którzy zawsze byli z nami, ze mną, też się wycofali, bo dostawali po głowie. Nagle zdałam sobie sprawę, że tak właśnie wygląda Polska, że tak naprawdę wyglądają Polacy. I przypomniało mi się wszystko, co usłyszałam na temat Polski okresu międzywojennego, gdy nasze społeczeństwo było podzielone na narodowców i ludzi otwartych. Wiele z tego, co się wówczas działo – ze sztuką, literaturą i społeczeństwem – zaczęło mieć zabarwienie brunatne. I to teraz znów wyszło. Poczułam, że apetyt na ten faszyzm – bo inaczej tego nazwać nie można – na całkowitą nietolerancję, który został zahamowany przez wojnę, teraz nagle na nowo wybuchł.

Są ku temu, niestety, sprzyjające warunki.

Do mojego fanpage’a i bloga każdy ma dostęp, zamiast więc blokad ludzi, zamieszczam rzeczy ważne, czasem komentuję, czasem milczę, ale podpisuję się pod tym lub daję pod rozwagę. I w tej chwili „Dziennik” jest efemerydą. Jak już naprawdę nie mogę wytrzymać, to coś wykrzykuję, ale bardzo rzadko. Czekam na lepsze czasy, żeby móc spokojnie, na nowo zacząć żyć. Teraz tylko gram, reżyseruję, dyktuję, robię swoje.

Myślę, że tym bardziej powinna Pani teraz regularnie pisać.

Nie. Ja pisałam z prawdziwej potrzeby. Nie mogę się do tego zmuszać. Pisałam do przyjaciół. Prawie codziennie stoję na scenie. I to porozumiewanie się z ludźmi przez rolę, przez sztuki, które wybieram, przez sposób, w jaki gram i w jaki prowadzę teatru, również jest rozmową i przyjaźnią. Bardzo aktywny jest też mój Facebook, a raczej fanpage. Nagle okazało się, że to, co mnie porusza i co udostępniam innym, czyli mój poranny wybór wiadomości, artykułów z mediów, jest dla nich ważne. Spędzam nad tym dwie-trzy godziny dziennie.

Traktuje to Pani jako misję?

Tak, absolutnie. Ale bez przekonania, że jestem kimś wyjątkowym.

Wielu ludzi tak robi w internecie, nie chcą być sami z „opresją”, w jaką wprowadziły ich czasy, z niepokojem. Misja? Tak, tak jak mój zawód, Fundacja, której poświęcam cały swój czas i dorobek całego życia. Trudno to inaczej traktować. Za dużo temu oddaję. I nie żałuję. Myślę, że też dzięki temu dostałam po 25 latach wolności tytuł Człowieka Wolności w dziedzinie sztuki. Za to, że nie zajęłam się prywatnymi sprawami, a robiłam wszystko dla ludzi, nasze fundacyjne teatry zyskały znaczenie – gramy repertuar, który porusza ważne tematy, często niepopularne, bolesne.



Gala gwiazda z okładki



*„Przeżyłam
bardzo owocne
życie. Ani nie czuję
niedosytu,
ani nie uważam,
że osiągnęłam
wszystko”.*

BOHATERKA UBRANA JEST: SWETEREK I SZAL LUISA SPAGNOLI, SZEROKIE SPODNIE SIMPLE, BUTY ALDO

Ma Pani charyzmę. Jest niezwykle wyrazistą i silną kobietą.

Kobiety w mojej rodzinie właściwie wszystkie miały siłę i niezależność. Myślę też, że wpływ na mnie miało wychowanie. Najpierw, gdy byłam małym dzieckiem, wszyscy się mną zajmowali. Kilkoro dorosłych, rodzina. Kiedy przyjechałam do Warszawy i poszłam do szkoły, rodzice zupełnie nie mieli dla nas czasu, dla mnie i dla siostry. Odkąd pamiętam, w czasach szkolnych żyłam jakby na własną odpowiedzialność. Od liceum już wszystkie decyzje podejmowałam sama. Na szczęście na dole w moim bloku w Ursusie była biblioteka, a nie piwiarnia. (śmiech) Na zabawę z koleżankami na podwórku nie miałam wiele czasu, ponieważ rodzice – by nam, z siostrą, głupoty nie przychodziły do głowy – uznali, że zorganizują nasz czas w dosyć morderczy sposób. Uczyłam się więc czterech języków, grałam na fortepianie, chodziłam do studium baletowego.

Pani została tego po prostu nauczona – by mieć całe dni wypełnione zajęciami.

Dokładnie. Ale jak się bawiłam z koleżankami, to rozmawiałyśmy o książkach i o marzeniach przyszłego, niezwykle życia, a nie o głupotach.

Jakie miałyście marzenia?

A różne! Każda z nas chciała napisać książkę. To na pewno. Jedna chciała zostać choreografem. To było zdumiewające: taki robotniczy Ursus, takie podwórkowe dzieci... A z drugiej strony... wielki blok przy ulicy Hanki Sawickiej. Ludzie, którzy w nim mieszkali, pochodzili z całej Polski, mieli korzenie kresowe, niemieckie. My ze Starchowic, mój ojciec był inżynierem zbrojeniowcem. Matka jednego z kolegów, który mieszkał na tym samym piętrze, była tancerką. W naszym bloku mieszkał też bardzo starszy pan, który dużo z nami rozmawiał – był jednym z byłych właścicieli późniejszej fabryki Ursus. Trafiłam więc w taki tygiel żywych umysłów. I wspaniałych, budujących snobizmów. Wpływ otoczenia ma, moim zdaniem, decydujące znaczenie dla przyszłości człowieka. Nie bez powodu rodzice tak się martwią o to, w jakim towarzystwie obracają się ich dzieci, bo to absolutnie determinuje, na całe życie.

A czy Pani przyjaźnie z dzieciństwa przetrwały?

W Fundacji pracują dwie moje koleżanki. Do dzisiaj się przyjaźnimy. Wiele znajomości przetrwało. Także te późniejsze, z liceum plastycznego.

Jest Pani osobą, która pielęgnuje przyjaźnie?

Tak. To znaczy, wie pani, nawet po kilkudziesięciu latach niewidzenia się czuję się z tymi wszystkimi ludźmi blisko związana. Dwa miesiące temu przypadkowo odnaleźliśmy jednego z naszych kolegów z klasy, Roberta Stpiczyńskiego, który namalował w Polsce i we Włoszech wiele obrazów religijnych, mieszka na stałe we Włoszech. To było niezwykle liceum, które budowało osobowości, nie ograniczało nas w żaden sposób. I myślę, że to bardzo zapracowało. Właściwie wszyscy ci ludzie są kimś: architektami, grafikami, malarzami, designerami. Spotkania z nimi sprawiają mi wielką przyjemność. To, że odeszłam w inną stronę, nic nie znaczy. Dalej jest mi to bliskie...

Czy ma Pani poczucie, że osiągnęła już wszystko?

Nie. Nie.

→



KRYSTYNA JANDA

Urodziła się w 1952 r. w Starachowicach. Najwybitniejsza polska aktorka teatralna i filmowa, reżyserka, założycielka Fundacji Krystyny Jandy na Rzecz Kultury. Prowadzi dwa warszawskie teatry: Polonia i Och-Teatr. Ma w dorobku wiele znaczących ról, m.in. w „Człowieku z marmuru”, „Człowieku z żelaza” i „Bez znieczulenia” Andrzeja Wajdy oraz w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego.

Niedosyt?

Ani nie czuję niedosytu, ani nie uważam, że osiągnęłam wszystko. Myślę, że przeżyłam bardzo owocne życie. Natomiast mam od dwóch lat z wieloma moimi znajomymi poczucie wspólnoty w klęsce, w rozczarowaniu. I również poczucie winy.

Z jakiego powodu?

Że może, nie wiem, czegoś wszyscy razem nie dopilnowaliśmy, że tak się stało, jak się stało. Że ludzie myślą, jak myślą. Że czuli się gorsi, odrzuceni i teraz gryzą, bo wolno. Zawsze uważałam, że każdy z nas jest kowalem własnego losu i że tak naprawdę przyszłość człowieka zależy od jego pracowitości, talentu, chęci, dynamiki i działania. A teraz okazuje się, że cała grupa Polaków oskarża nas o coś, co my mieliśmy za sukcesy? Obwiniają, że nimi pogardzamy? Ja po prostu jestem... jakbym była chora od dwóch lat. Kiedy słyszę takie, przepraszam za wulgarność: „Kurwo, wypierdalaj z tego kraju!”, zwyczajnie wydaje mi się, że to niesprawiedliwe. Co więcej, nie domyślałam się nawet za co.

Nie należy się tym przejmować. To mówią ludzie mali.

Łatwo powiedzieć. Nie chcę używać wielkich słów, ale wydaje mi się, że dużo zrobiłam dla kraju, ponieważ tak się złożyło, że mój zawód jest zawodem społecznym. No w każdym razie obudziłam się dwa lata temu... i trwam w „oniemieniu”. Ciągłe wydaje mi się, że śnię, że to nie może być prawda. Nie mój kraj, nie moi rodacy, nie moja telewizja.

À propos, zapraszają tam Panią?

Nie. Kiedyś weszłam zaproszona do TVP Kultura i po piętnastu minutach był telefon z „góry”: czy Janda jest w budynku i co tutaj robi? (śmiech) Miałam już kiedyś zakaz grania w telewizji – wtedy powiedziano mi, że moja twarz przypomina Polakom niepotrzebne rzeczy. Ale to było za komunę. A ostatnio, jak do mnie ktoś napisał – bo już się wszystko wszystkim myli – „komunistyczna kurwo”, odpowiedziałam: „Zgadzam się na kurwę, ale nie zgadzam się na komunistyczną”. No ale nic.

Myślę, że trzeba przeczekać trochę, robiąc swoje. To minie.

Może. Może... (cisza) Nie jestem optymistką, niestety. Myślę, że czeka nas naprawdę... długie lata nas czekają w... nie wiem, jak to nawet nazwać. Kiedyś, w czasach komunizmu, tłumaczyłam na pogrzebie księdza Popiełuszki mojej przyjaciółce, aktorce francuskiej, o co chodzi z tym komunistycznym reżimem. Po całym dniu tych wyjaśnień, kiedy wydawało mi się, że „załapała”, zapytała mnie zdziwiona: „Ale co na to wasz parlament?”. Teraz ja sama zadaję to pytanie, jako żart.

Proszę tak nie mówić, bo może za dwa lata wszystko się zmieni...

Nie. Nie będzie wolnych wyborów. Czekają nas kilka-kilkanaście lat... absolutnie niesprawiedliwego kraju.

A gdzie widzi Pani teraz miejsce dla siebie?

Nigdzie! Robię swoje dalej. Gram, póki mamy publiczność, póki to, co gram, ma znaczenie i ludzie kupują na to bilety. Ale w dniu, w którym

„Kiedy ludzie przestaną kupować bilety na moje spektakle, spokojnie się oddalę. Nie muszę już grać”.

Zamieniłaby Pani teatr na sztalugi?

Z konieczności. Gdyby to było moje marzenie, dawno bym malowała. (śmiech) Zawsze robię to, na co mam ochotę.

Czyli nie malowała Pani od skończenia liceum?

Nie miałam czasu. Przez pierwsze 10 lat robiłam trzy, cztery filmy rocznie i grałam dwie, trzy role w teatrze. A liczba choćby wywiadów, ilość obowiązków dodatkowych, rodzina, dzieci... naprawdę, mogłabym obdzielić tym wszystkim kilka kobiet. (śmiech)

Czy jest coś, o czym Pani jeszcze marzy?

Nie, nie, nie. Wszystkie moje myśli są z Fundacją i naszymi teatrami, a te naprawdę gorące i emocjonalne wiążą się jednak z rodziną. Mam dużo dzieci, dużo wnuków i martwię się ich przyszłością. Szczerze mówiąc, wszystkie moje wątpliwości, zmartwienia, pesymizm odnoszą się do tego. Mam dwóch synów, jeden ma 25 lat, drugi 27. Wchodzą w życie. Moja córka jest aktorką, w sile, w środku kariery. Wnuczka, najstarsza, poszła na historię sztuki. Młodsze wnuki zastała reforma szkolnictwa i się z tym zmagają. A ja jestem jak Szymon Słupnik i wydaje mi się, że muszę wspierać całe to towarzystwo. Mam przy sobie 88-letnią matkę, która jest bardzo aktywna, bardzo zajmuje ją polityka i cały czas tym się emocjonuje. Kiedy umierał mój

mąż prawie 10 lat temu, dwa lata po wspólnym stworzeniu Fundacji, powiedział do mnie: „O ciebie się nie martwię, ty sobie dasz z tym wszystkim radę”. No i cóż... staram się. Tylko to „wszystko” mnie przerosło. Nie ma takiego filmu na świecie i takiej sztuki, która by zastąpiła te „atrakcje”, których nam dostarcza teraz życie. Moje emocje są związane z tym, co będzie dalej. Jak będzie wyglądała przyszłość moich bliskich. Bo ja ciągle nie zaczęłam się urządzać w tym „nowym”. Ciągłe nie!

Dużo czasu spędza Pani ze swoimi dziećmi?

Na weekendy do Milanówka przyjeżdżają wszyscy. Jemy wspólne obiady, panowie przywożą pranie, przyjeżdżają się przytulić, pogadać, grać w tenisa. (śmiech) Zjawiają się też, jak mają kłopoty osobiste, kiedy są jakieś problemy, rodzinne rocznice, imieniny, urodziny – to wszyscy się spotykamy. Ale wszyscy przyjeżdżają głównie do Babci, czyli mojej mamy.

Bardzo jesteście ze sobą zżyci?

O, życie jest wymagające. Każdy ma swoje sprawy, tak więc bez przesady. Ale spotykamy się regularnie. →



Z okazji 200. numeru „Gali” Krystyna Janda wystąpiła na okładce z mamą, córką i wnuczką. Maj 2005 rok.



Święta zawsze spędzamy razem, w Milanówku. Wyjeżdżam też z dziećmi na narty albo na wakacje. Bardzo dużo pracuję, w stałym rytmie i na razie nie wyobrażam sobie bez tego życia. Ale w owym rytmie są również rodzinne niedziele, spacer, książki, rozmowy, zakupy, wyjazdy z matką, wizyty z nią na cmentarzu – wszystko to, o co mama mnie prosi, bo jestem z nią po prostu.

Jesteście do siebie z mamą podobne?

Myślę, że w jakimś sensie tak. Moje wszystkie przyjaciółki kochają się w niej i zazdroszczą. Mama jest aniołem spokoju i neutralności, czy raczej akceptacji. Mieszkaliśmy z mężem w Milanówku przez 22 lata, razem z moimi rodzicami. Nie było nigdy żadnej awantury. Nigdy nikt nie miał do siebie nawet cienia pretensji o cokolwiek. Kiedy mój mąż był chory, mama bardzo się nim zajmowała, była z nami, za co jestem jej naprawdę wdzięczna. Tak, czujemy się bezpiecznie, czujemy się rodziną. No i wszyscy mamy w swoich domach zwierzęta. Psy, koty. W moim domu są w tej chwili cztery psy. Wszystkie nasze zwierzęta to uratowane z nieszczęścia istoty. Jedną z nich, Sonia, towarzyszy mi właściwie bez przerwy. Wszędzie z nią jeżdżę. Nawet na wakacje do Włoch. Spotkałam ją w Krakowie w centrum handlowym.

Śpi z Panią w łóżku?

W nogach, i pilnuje bezpieczeństwa i spokoju całego świata.

Wydaje mi się, że jest Pani taką osobą, która i w teatrze, i w rodzinie skupia wszystkich wokół siebie, przyciąga.

Nie wiem. Nie tyle skupiam, ile... jak to nazwać? Ja zawsze mam jakiś plan. I rozwiązanie.

A nie chciałaby Pani, aby te role chociaż raz się odwróciły?

Ależ tak się zdarza. Mamu dużo, stary dom i na okrągło go remontuję. Marzę, żeby ktoś mi zdjął te remonty z głowy. (śmiech)

Daje Pani radę?

Staram się. Mam wciąż poczucie moich możliwości zawodowych. Nie boję się więc w sensie kryzysu – jak będzie trzeba, wyjdę na scenę i będę ratować. Ale boję się zdarzeń i rzeczy, na które nie mam wpływu. Które nie ode mnie zależą.

Zawód, który Pani uprawia, nadaje życiu dużą intensywność.

W Pani przypadku nakłada się jeszcze na to silny charakter i ekspresyjna osobowość. Nie jest Pani czasami zmęczona?

Nie ma Pani potrzeby pobyć sama?

Jestem ciągle sama. Bez przerwy. I bardzo mi z tym dobrze. W teatrze też zresztą jestem sama. Bardzo chronię swoje godziny, nocne godziny samotności. Uwielbiam je. A praca jest moją radością i sensem. Dbam o siebie. Żyję dość higienicznie... nie bywam prawie w miejscach publicznych.

Dlaczego?

Bo mnie nie bawi cały ten zewnętrzny świat show-biznesu i tego rodzaju „błyszczanie”. Nie wiem, jakoś nie umiem i nie lubię. Zawsze tak było, ale teraz mam pozycję, która mi na to pozwala. Zresztą jest wiele obowiązków „reprezentacji” związanych z teatrami, z Fundacją. To lubię i tu nie marudzę. Ta Fundacja to dzieło mojego życia. No i jestem tu naprawdę potrzebna.

„Dotknęło mnie wszystko: miłość, rozwód, rozczarowanie, macierzyństwo, śmierć męża. Teraz odchodzenie wielkich przyjaciół”.

Potrzebna jest Pani również dzieciom. Chyba nie miała Pani dla nich za wiele czasu?

Wychowywałam je, zawsze razem z moją rodziną, przede wszystkim z mamą. Ale moje wolne chwile miałam dla nich, dla domu. Nigdy nie robiłam w tym czasie zakupów, nie gotowałam, nie sprzątałam. Moje dzieci zawsze miały poczucie bezpieczeństwa. To wszystko nie polega na ilości czasu, tylko na jego intensywności. Poza tym uważam, że dzieci wychowuje się przez przykład. I prawdę. Nieukrywanie uczuć.

Łatwo się Pani wzrusza?

Bardzo łatwo. Zbyt łatwo. Mój mąż się z tego śmiał. Bawiło go zawsze, jak odbieram sztukę. Jakbym była „naiwnym cywilem” w tej dziedzinie lub dzieckiem. Ale też po latach teatr, kino, nudna książka, głupie interpretacje są jak cierpienie, to boli fizycznie. Nie jest to najsmaczniejsze.

Miała Pani 23 lata, kiedy debiutowała w „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy. Jak się Pani zmieniła przez te ponad 40 lat?

O, myślę, że zmieniłam się bardzo. Przeżyłam bardzo bogate życie, to zmienia. (śmiech) Jeśli chodzi o życie osobiste, dotknęło mnie wszystko: i miłość, i rozwód, i rozczarowanie, i szaleństwo, i cierpienie, i macierzyństwo, i śmierć ojca, i śmierć męża. Teraz coraz częściej odchodzenie wielkich przyjaciół. Trudno to wszystko przejść i się nie zmienić. Dotknęły mnie też równoległe trudne sprawy związane z moim zawodem, bo właściwie każda rola – Anieli, Medei, Fedry, Elżbiety z „Białej bluzki” czy Arkadiny i Raniewskiej (postaci z „Mewy” i „Wiśniowego sadu” Antoniego Czechowa, przyp. red.) – to przeżycia i emocje. Tego się nie da zagrać bez uczuć i emocji. Było ich strasznie dużo, tyle ról. Ale nigdy zawód nie przysłonił mi realistycznej oceny ani świata, ani siebie. A w stosunku do innych, szczególnie od momentu stworzenia Fundacji, łagodniej i staję się coraz bardziej otwarta, tolerancyjna. Coraz bardziej.

Jest Pani zadowolona ze swojego życia?

Tak. Byłabym całkiem szczęśliwa, gdyby jeszcze nie doszło w Polsce do tego, do czego doszło. I uważam, że emigracja wewnętrzna jest grzechem. Wielu moich znajomych w nią ucieka, ale nie można w tej chwili milczeć. ●



rozmawiała
ALDONA
SOSNOWSKA-SZCZUKA

stylizacja Grzegorz Bloch

makijaż Iza Kućmierowska / Complete Artists

fryzury Emil Zed / Van Dorsen Artists

produkcja sesji Kasja Michorowska, Magda Lizurej

asystent fotografa Maciej Niemojewski

Sesja została zrealizowana w budynku apartamentowym Cosmopolitan przy ul. Twardej 4 w Warszawie.



Kulisy sesji zdjęciowej
można obejrzać
na Gala.pl